

Jan  
Brzękowski

**Przyszłość  
nieotwarta**

*poezje*



**Oficyna Poetów i Malarzy**  
Londyn 1959

© by Jan Brzękowski

Nr. 359....

I

RZECZY WYOBRAŻONE

Printed by Poets' and Painters' Press,  
146, Bridge Arch, Sutton Walk, London, S.E.1.  
Tel.: WAT 7533.

## ŚCIEG

Często — gdy myślą przybliżam chwile odległe i lata  
rzęsy przymkniętę jak krata nas dzielą,  
gdy myślę o was dalekich — słowa jak gołębie  
z rąk mi zlatują, przyjacielu,  
w skrzydeł trzepocie jak płaty  
białego listowia giną w coraz bliższej głębi.

Chwile te jak ofiara biblijna zamrużone w dymach stosu  
w obłokach gęstnieją i toną, pod piersią  
coś ciśnie i umiera bezpotomnie, jak pierwszy  
wiersz do którego rymu znaleźć nie sposób.

Wtedy — na granicy między snem a nieśnieniem  
jak na ścierni zroszonej złym księżycem z bajki  
dzielą nas lata niezapomniane,  
jak rzęsy przymrużone na szybie wśród lodowców  
układam białe kwiaty w czerwieni zachodu  
kwiaty — sny zamrożone w pianę.

Ależ to niezapominajki  
naszego dzieciństwa i białe nenufary śpiących stawów  
wyłaniają się z krzewów przyciemnień zamrużeń  
słysząc tumult eksplozji — to w dymie zachmurzeń  
czarne oczy Infantki przypinają złote skrzydła sławy  
gdy wspomnienia świerszczami ćwierkają w kominie.

To one suną po polach elizejskich jak sanie po równinie  
zaprzężone czwórka koni karych, którym  
wilki skaczą do gardła — krwią na śniegu znaczą  
trop niezatarty. To ścieg przerwany na śniegu za borem  
na odległej ukrainie zimy.

## CZARNA

Tam, gdzie droga wypełniona pyłem  
zakreca poprzez most nad wodą rzucony stojącą —  
żyją w niej nenufary, wartki bat woźnicy lekko je potrąca  
odrywa od tafli wody białą duszę dziecka —  
gęsi w skrzydeł trzepocie rzucają w powietrze gęste chmury  
[pierza

jak orły natchnione nad łąką wlatują pochyłą  
i wypełniają krzykiem wieczór zamknięty w pejzażu —  
bezruch upału w nim żab rechotanie i brzęczenie trzmieli  
od pół podchodzi, siano zapachem duszącym w skronie uderza  
z rykiem żalonym bydło łaciate w omszałe kadzie  
język spragniony wpuszcza, szare chusty zmierzchu miękko  
[kładzie.

W ciszę wpadają dzwonki stacji pociągi głoszące i spokój  
[niedzieli  
świst gwizdka je wynurza w pośpiechu z mrocznych pokrowców  
jak cichy ukłon wita je czapka czerwona zawiadowcy.

Z drugiej strony drogi i błotnistego bajora w chmurach  
kryją się w mroku domy głucho drzemiące w dziedzińcach  
ogródki malw i maków zapuszczone i mała wioska Czarna  
[poprzez którą  
pędzi wśród burzy ciemnej kolorowy faeton mojego dzieciństwa.

## PODZIEMIA

Kiedy schodzisz w podziemia, w studnie głębokie, biegną cicho  
[z tobą  
sny zaplątane w chmury, myśli spadziste, cienie ostrokrzewe,  
gonią cię smętne krzyki łań i jeleni stojących u brodu  
i wspomnienia nad głową skrzydłami biją białymi jak mewy.

Nogą trącasz niedbale kości przez mrówki oczyszczone z mięsa,  
zanurzasz się powoli w mglistą pomrokę pustych korytarzy  
wyłożonych ciemnością i rozchylone strachem mrużąc rzęsy  
jak porażony światłem cień mierząc lękasz się swej własnej  
[twarzy.

Cofasz się w dawne burze, gdy latające w powietrzu piórniki  
przecinały je z sykiem ostrym rakiety w eksplozji wybuchach,  
huczała klasa gwarem. Wybladły chłopiec uciekał od krzyku,  
w jary chronił głębokie, noc niezmierną wstrzymywał w  
bezruchu.

W kamieniu dziwne rzeźbił popiersia kobiet odcięte, bez głowy,  
w marmurze rylcem ciosał wiersze odporne, senne echa budził,  
heksametrem figury zamykał ciche w pomniki spiżowe,  
przestrachem zdjęty w kłęski wpadał samotne daleko od ludzi.

Słaby był lecz uparcie z wszystkimi walczył zaciskając pięści,  
jak w Iliadzie wydawał boje zaciekle, był Ajaksem dzikim  
szukającym Hektora, opuszczony przez bogów coraz częściej  
za osłoną krył dymną myśl wzburzonych okrutne storczyki.

Jako rekrut niezdarny z przekleństwem dźwigał ogromny  
[karabin,  
był mówcą i aktorem wędrując z cyrkiem, górnikiem na Śląsku,  
jako pielgrzym pustynie z piasku przebiegał szczęśliwej Arabii  
i rumienił wstydliwie, gdy poprawiała dziewczyna podwiązkę.

Długo czas się odmieniał przez lata chyże. Ze wspomnień  
[szuwarów  
wysuwają się wolno twarze minione i zwartym szeregiem  
uciekają w spełnione, lekko rzucają sypkie ziarna piasku  
i chronią się w dalekie błędząc wysoko ponad linią śniegów.

Nie uciec od dni chmurnych w czas rozwinięty, lnu babiego lata  
rozplątać się już nie da, bez nożyc Parki bieg omszanych wieków  
nigdzie się nie zatrzyma. Jak nieprzeżyta młodość nas oplata  
czas — w nas się sączy cicho słodko przenika wchodząc pod  
[powieki.

— — — — —  
Dziś, gdy lata jak konie spłoszone pędzą po wybitej drodze  
w potarganej uprzęży noc w przyśpieszenie unosząc bezdenną,  
zatrzymujesz je ręki znakiem cichym jak spóźniony  
[przechodzień,  
gdy przed podróżą wzrokiem przebić się stara niezglębioną  
[ciemność.

## ORCHIDEA

Jakżeż dawno zarzuciłem śpiew i słowa  
nie wybiegną zapomnianym majem  
jak gołębie z zatrzymanej arki,  
oczy pawie mkną za mną szalone i rąk się czepiają,  
zapadły chwile obłe, płoną lata płowe,  
dawno minione w srebro się mienią, płyną nurtem wartkim  
żurawi w niezatartej jesieni, szumi jak natchniona muszla  
przyszłość nieotwarta,  
żaden rybak jej nie odmotał ze swej sieci, kiedy w głębię uszła  
niedosięzną, myśliciel żaden nie zamknął w czujnych palców  
[dotyk.

i śnieg ją bielił cicho bladym wysnieniem  
i sen ją wyśnił przewiśnięciem  
jak oczy dziecka przemienione  
w zółtki wpatrzone dagerotyp.

Zatrzaśły się za nami bramy radiostacji niemej.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem jak ciemniejszą  
cienie przyszłości, z której wyjścia nie ma.

Wyplątać się nie można ze wspomnienia  
które zapadło w noc i beznadzieję.

i stoi na straży jak trująca orchidea  
do snu wśród listowia na sercu ułożona trwożnym.

Czasem  
budząc się w nocy letniej  
widzę na progu młodą dziewczynę o licach karlicy,  
miętko znużone oczy przymyka ręką bratnią,  
we włosach jej wiatr szumi, głos ostrokrzewy morza,  
z jękiem przedziera w uśpione ulice,  
szepcąc porusza firanki przysłaniają one piekło,  
z którego naga  
uciekaś  
w gorejący pożar.

(tak się rzucają przez krew przyciągnięte żarłoczne piranhy  
i rozszarpują żywe mięso, jedną wielką ranę —  
długo Indianie szli za nami ukrywając ślady w puszczy...)

Gdy wiodłaś mię za rękę w trzaskające belki ogień iskry  
[wpuszczał,

z sykiem pękały, płomień w niebo wzlatął,  
jak Duch Święty lekko językami lizał,  
przyszłość dystanse zmienia i przybliża,  
barwy zmieszane w jedno łączy  
i nieprzebrane lata.  
Przestrach chwyta za gardło,  
ale krzyk  
z ust wyjść nie chce w gęstwinę zagubiony pnączy  
i jak krzak  
gorejący  
wskazuje drogę dawno zamarłą.

Tak w złe noce gorączki,  
gdy trwożnie wpatrzona twarz ojca śledzi chorego, oddech  
[odmierza  
nierówny, w świetle nocnej lampki błędnych cieni pościg  
budzi milczenie a lęk senne nietoperze  
rozwiesza tu odświętnie na murach ciemności.

Biały anioł nie wiódł cię miękko do przystani,  
przed Notre-Dame nie zatrzymał się nie zamilkł,  
gdy rozbijałem zamki witryn bukinistów —  
ale zamiast twoich oczu przezroczystych  
widziałem tylko czarne błyski czasu  
na łąkę rzucone kwiecistą  
i to wspomnienie zapomniane ten brak ciebie  
który trzepocze sercem jak spłoszone skrzydło ptasie  
na wzburzonym niebie.

Nigdzie cię znaleźć nie mogłem.  
nie było cię ani w Dõmu ani w Coupoli —  
szukałem cię wszędzie pośród nocy obłej,  
bo nie jestem ani z chleba  
ani z soli ani z roli  
ale z tego co mię boli  
ale z tego co jest drogie co jest nieme,  
przetopiony w słów alchemię,  
krzyk nieżywy wkuty w skały  
oniemiały  
wbity w ziemię.

(tak znika gwizd lokomotywy  
na wjeździe do tunelu z którego wyjścia nie ma.)

tak samo — dawno — kiedyś —  
zanurzony w ciszy letniej,  
zagubiony w nocy leśnej,  
chciałem zginąć, krzyżeć we śnie,  
ale szloch chłopięcy  
niemy — nie mój  
z warg  
zejść nie mógł  
w ciemność czarną,  
błądził, kluczył w noc bez kluczy  
i przegięty  
czepiał się martwej moreny  
którą tu porzucił  
pokonany czart.

## ODLEGŁE WSPOMNIENIE

Kiedy pierwsze wspomnienie jak szyszkę wyłupuję z drzewa  
widzę nade mną księżyc złoty bochen chleba zwieszony nad  
wieczór zapach magnolii w ogrodach podmiejskich do krzewów  
gdy z drugiej strony Wisły nadbiegł pierwszy huk armaty

Wielką salę ratusza radni gęsto obsiedli jak sowy  
jędrne piersi dziewczęce śmiechem zmurszałe wypełniają sienie  
stróż nocny szorskim gwizdem godziny zdejmuje z wieży  
i do mieszkań podchodzi stukiem halabardy dziwne wznosząc

Psy bezpieczeństwa dalekie monotonicznie obszczekują księżyc  
chłopcy dziewczęta białe na ulicę wybiegają rojno  
skrzypiąc wchodzi do nieba bryczka pełna czarnych księży  
i miasteczko znów w ciszę zapada jak zawsze przed wojną.

## ROZSTANIE

W przyszłość dali wpadały pociągi, budziły  
noce dżdżyste i ranki srebrzyste z diamentów szronu —  
na zagubionych dworcach rozdawano gorącą herbatę,  
parowozy w ciemności ginęły zawilej  
semafory wzniesione do wjazdu broniły  
przestrzeni z waty białej uwitej i z mokrej bielizny na sznurach  
porzuconej w pośpiechu brodatym.  
Tę noc rozstania przyszłość otwiera ponuro  
jak w odmiennych kierunkach jądące pociągi  
grozę dalekobiezną budzi gwizd, lokomotywy  
zadzyszane parskają przekroploną parą.

(tak wybuchały w tobie grubo ociosane słowa. )

Nie wiedziałem jak cię zatrzymać jak zachować  
jak złączyć w magdeburskie kule  
których rozerwać się nie da, słowa wyszeptać uczuleń  
wagi pełne nieznanego, nie do powiedzenia;  
tak chciałem, niepoprawny, miłość przez przypadki odmieniać,  
ale nie było ani słów, ani czasu wpisanego w koło.

Chciałem cię raz jeszcze wywołać  
na przedpole powiek,  
ale krzyk mój wpadł w oszroniałe ściernie  
i zastygł w grudkę lodu  
człowiek  
otoczony czernią  
grobu.

## MIĘDZY MORZE

Sniłem cię często na międzymorzu dnia i nocy,  
na międzyoczcu uczuć niespokojnych,  
więziony w polu magnetycznym pocisk  
na międzyustach słów i wojny

Pobiegłem za tobą w rudy przestrach,  
szukałem cię zgubionej w korytarzach mètra,  
po krążgankach zamartwych w cienistość wpuszczonych zawiałą,  
w zamku czerwonym kolisto przykutym do skały,  
w którym smutne motyle miętko się bielily,  
zaglądały przez okna bez szyb, litowały  
nad Markizem Wspaniałym  
wtrąconym do lochu.

Wychodźca uczuć wiosennych budziłeś białe kwiaty mrozu —  
pracowaliśmy wtedy w pierwszej zmianie do północy  
i długo szukaliśmy jutro po ulicach gwiazdzistych.  
Na wiadukcie wiatr szczypał policzki i zamykał oczy,  
trzymaliśmy się za ręce i ruchem falistym  
wpadaliśmy w dalekie kłębowiska mchów, usta nasze  
w niewypowiedziany szept się łączyły idąc Żoliborzem,  
dzwonek tramwaju budził smutnie Dworzec Gdański  
w żelastwa szczęku rzucał przez szyny, wypłaszał  
z głębokich parowów snu, spóźniony przechodzień,  
z nocy zastygłych —  
jak ryby śnięte na głębokiej wodzie.

## KORZENIAMI WRÓSC

Jakżeż otoczyć cię mową jak ramionami  
jak objąć w niepojętej głębi  
słowa — maki i bławaty rozeźnione  
pod stopy rzucane jak skrzydła gołębi.

Jak pognębić cię jak w rozruchu zatrzymać wzruszenie  
poruszone — myśli liściaste oceany pnączy  
serce czerwone korzeniami wrosłe w ziemię  
jak przemienić tęsknotę razową   przeszumieć   rozłączyć?

Jak rozkładać słowa na wyraju  
których na wargach nie zatrzyma przemoc  
kwitną drzewem dymu nad strzechą jak w kraju  
kwitną ból mój dojrzewa   dojrzały kłos przenny  
opadam

                  w noc rosochatą  
                                  rosnącym korzeniem  
w zamieć.



## *R Y B Y*

Spiż dawnych Rzymian, Greków natchnienie — zmieniliśmy  
[w aluminium  
ale ciąży nam ono bardziej od hartowanej stali  
na tarczach naszych w skórach malowanych minią  
głowy odcięte dzidą kanibali zatknięto niedbale.

Zamiast masztów wzniesiono w niebo szubieniczne pale  
zamiast żagli całuny oddano na łup czarnej burzy  
bez busoli pędzeni złym wichrem po falach  
strachem biblijnym budzą nas krzyki na tratwie Meduzy.

W krainach odległych jak duchy po polach Elizejskich  
[szukające cieni  
przez wiatry nieprzyjazne gnani po morzach głębokich i  
[pierzastej pustce  
gdzie za burtę miotane posągi bogów minionych w płomieniach  
nocą nam towarzyszą jak ryby żarłocznie otwierając usta.

## *N O C*

Szedłem drogą w gąszczu schowaną i pomroczy  
gąszcz mię spowijał i w mroku topił bezkreśnym  
nocy płaszcz czarny w ciszy łopotał leśnej  
na piersi kładł nagiej i palce zaciskał  
na gardle, słowa stalowe jak czarne obręcze  
dudniąc do dna toczył.

Jak wyzwolić się z tej nocy rozlanej jak rzeka —  
jakie gwiazdy odszukać objawień koszmarnych  
by wyplątać się z tego grobowca?  
Sny od dawna uciekły ode mnie — jak łowca  
rzucony w podziemie w noc wszedłem polarną  
bez dna.

Z nocy tej wyjścia nie ma.

## ZIEMIA I NIEBO

Kiedy opuszczasz wysokopienne opary snu, wąwozy cieniste i  
[chwiejne sitowia  
wynurzasz na świat szeroki w horyzont wchodząc obrośły  
[listowiem jak rzęsy  
nie wiesz, nie dowiesz się nigdy dokąd prowadzą drogi  
[niewyznaczone i niebieskie szlaki  
nie wiesz jakim ptakom ponurym powierzyć swe myśli  
[niedosiężne chmury.

Dnie i noce opadają powolne jak jesienne liście  
srebrne widnokregi przebijają oderwane lata  
wzlatują włosy anielskie i pierze nieważkie, rybitwy ostre w  
[zachód wpadają jak w czerwoną korę.

Wypuszczam pędy wynurzam — niezmierzone oplatom  
ramionami — niedościągłe podnoszę  
do oczu zamglonych i biegnąc w zamyślane niebo  
nogami — dwie kolumny — wrastam w ziemię życiodajną.

## TWARZE PRZYJACIOŁ

Gdy podczas nocy zaginionej  
przebijam wzrokiem ciszę rosochatą, ciemność niezamieszkałą  
[jak wieki  
uderzają mię w skronie twarde rybie skrzela  
podechodzi do mnie gość daleki  
odchyła namiotu zasłonę  
i wprowadza do wnętrza wirujące karuzele.

Konie białe i bułane w powietrzu zawisłe  
miętko krają horyzont w falistych lansadach  
pod strażą anielską na białym niedźwiadku  
przybywa zakłęta królowna wśród lodowców uśpiona  
do zorzy przykuta polarnej srebrnymi nićmi  
babiego lata. Na zamarżłych sadzawkach  
średniowieczne czarownice spod wód ramiona  
jak kwiaty wznoszą do nieba.

I kwitną bazy, białe sople lodu.

Nad tajgą polarną gdzie wiatr północny  
rozzuca kości po srebrnej pościeli  
szamani z wnętrza ciemności  
faunę arktyczną wywołują miękkim ruchem ręki:  
reny chyże, wiewiórki przemyślne i psy wierne czarnym  
[ścięgiem  
do sań zaprzężone gdzie na skórach spoczywa Anhelli.

Twarze przyjaciół jak dagerotypy wybladłe  
powstańcy bladzi o smętnym uśmiechu Grottgera  
z mgły wypływają przyprószonej śniegiem  
twarze  
tych co nie wrócili, co nie chcą umierać  
dla historii, zatrzymane u wrót cmentarzyska  
nad którym rozwieszono śnięte nietoperze.

Budzi mię pies zdjęty grozą i sierść jeży  
strach zwisa mu u pyska  
kulisty jak piorun.

## FAKTY

Nagie fakty mierzyły nasze życie,  
jak lawina toczyły skały pokruszone,  
przez okna groźnym światłocieniem  
wdzierał się strach — jak śmierć średniowieczna  
kosę podnosił do ciosu.

Przestrzeń otwierała się blisko w stukotaniu cepów.

Nie — to karabiny maszynowe przecinały drogę,  
po serpentynach wspinały pod górę  
w stronę lasu — to my strzelając cofaliśmy się coraz głębiej  
w krzewy nieprzejrzone, we wspomnienia i w omszałe lata.

Czereśnie kwitły wtedy białe na drzewach odległych sadów nad  
[Dunajcem.

## NIEWYMIAR

Samotny ptak, wędrowiec krajów dalekich,  
przemierzam stopy minione, zatopione lądy,  
uczucia niewybuchłe a już zamarłe w lodowatych prądach,  
drogowskazy niewbite — ogień i popiół zamkniętej powieki.

Nie zgłębić drzewostanów jesiennych, żółtych od rdzy słonej,  
która w blasku słońca czerwonym wybucha płomieniem,  
wśród traw i gąszczy ukryty, tropiciel snów niewyśnionych,  
niedościgłych jak główki dziecięce jaskółek nanizane w  
[pierścień!

Cień żaden mroku nie zakryje, ani burzy, ani życie śmierci,  
ani tego co było, słowa jest które jest  
niewymiarem potworności.

A przecież dni odzierały z kory lata które jak charty  
biegły za nami wywieszając język wartki —  
i nie można ich było zatrzymać za kratą,  
ani przemówić serdecznie.  
ani przemocą serdeczności.  
rozwijały się same jak motowidła czasu w rękę Parki  
do których nie przyłożyć miary

Więc mierzono sprawiedliwość wymierzaną śmiercią  
[niewymierną  
i śmierć bez sprawiedliwości i bez prawa —  
i więzienie bez samotności miłosiernej,  
aż przepełniła się miara i stała się pusta jak słowa.

Wtedy  
rozdzielca śmierci Król-Duch naszych czasów  
wyruszyłem w dalekie, w przyszłość się  
zanurzam  
siną, jak horyzont przed burzą.

Goniły za mną jak kule szklane oczy wisielców.

## SPOTKANIE

Ten świat jest dziwny, ileż nieznanych  
światów przeszło mię, przebiło na wylot  
nachyliło  
nade mną, pogrzebało w gęstwie przeczuć —  
był to dziwny wieczór  
lub może poranek?

Nie —  
Było to w listopadowy wieczór, dnia dwudziestego któregoś  
daty nie pamiętam dokładnie, z datami jestem na bakier —  
była godzina szósta przystanąłem przy hallu  
na rogu ulicy Royale i wydało mi się, że idę Królewską lub  
Nowym Światem.

A wtedy miałem dziwne spotkanie: mój  
stary profesor łaciny, w cylindrze wybielonym kurzem,  
rzucił grosz ubogiemu  
słaniając się na wykrzywionych odnóżach,  
jak gdyby wyjęty z obrazu Toulouse-Lautreca,  
o latarnię oparty, przy murze,  
czekał.

Jakiś gest tajemny zatrzymał mnie również,  
a świat uderzony w serce także stanął,  
czy trwało to krótko czy długo?  
nie wiem, nie mogę zdać sobie sprawy —  
szedłem ulicą Długą  
w Krakowie lub w Warszawie  
a może nad Sekwaną.

Mój stary profesor łaciny otoczony tancerkami wybiegł z  
[Moulin Rouge'u  
i zapadł się ciężko w dorożkę dwukonną,  
koń człapał po bruku stukotem kopyt monotonnym,  
a numer dorożkarza przybitý na plecach,  
tysiąc sto trzydziesty drugi,  
chwiał się i błyszczał, jak słońce przyświecał.

Nagle poczułem, że tak nie można dłużej  
zalewać robaka i brodę zanurzyłem w chmurze  
w którą spowita była tancerka,  
ból rozkrywał me piersi ostrym pługiem  
i brnąłem w bezsens świetlny neonowych reklam,  
a nogi zapuszczały w ziemię swe korzenie,  
gdy usta zakuwały w łańcuchy milczenie.

A wtedy otworzyłem niewiedzące oczy.

## SPOTKANIE

Ten świat jest dziwny, ileż nieznanym  
światów przeszło mię, przebiło na wylot  
nachyliło  
nade mną, pogrzebało w gęstwie przecuć —  
był to dziwny wieczór  
lub może poranek?

Nie —  
Było to w listopadowy wieczór, dnia dwudziestego któregoś  
daty nie pamiętam dokładnie, z datami jestem na bakier —  
była godzina szósta przystanęłam przy hallu  
na rogu ulicy Royale i wydało mi się, że idę Królewską lub  
Nowym Światem.

A wtedy miałem dziwne spotkanie: mój  
stary profesor łaciny, w cylindrze wybielonym kurzem,  
rzucał grosz ubogiemu  
słaniając się na wykrzywionych odnóżach,  
jak gdyby wyjęty z obrazu Toulouse-Lautreca,  
o latarnię oparty, przy murze,  
czekał.

Jakiś gest tajemny zatrzymał mnie również,  
a świat uderzony w serce także stanął,  
czy trwało to krótko czy długo?  
nie wiem, nie mogę zdać sobie sprawy —  
szedłem ulicą Długą  
w Krakowie lub w Warszawie  
a może nad Sekwaną.

Mój stary profesor łaciny otoczony tancerkami wybiegł z  
[Moulin Rouge'u

i zapadł się ciężko w dorożkę dwukonną,  
koń człapał po bruku stukotem kopyt monotonnym,  
a numer dorożkarza przybity na plecach,  
tysiąc sto trzydziesty drugi,  
chwiał się i błyszczał, jak słońce przyświecał.

Nagle poczułem, że tak nie można dłużej  
zalewać robaka i brodę zanurzyłem w chmurze  
w którą spowita była tancerka,  
ból rozkładał me piersi ostrym pługiem  
i brnąłem w bezsens świetlny neonowych reklam,  
a nogi zapuszczały w ziemię swe korzenie,  
gdy usta zakuwały w łańcuchy milczenie...

A wtedy otworzyłem niewiedzące oczy.

## ODLEGŁA ALITERACJA

Wtedy  
powracając do życia odmierzyłem uczucia  
jak sekundy

Rzucam je przewieszane na wargach  
w czas zatrzymany

Włosy twe zaczesane we wspomnienia  
ująłem w dłonie  
nieudolne  
a pod palcem serdecznym znowu drgnęły rzęsy  
miętko  
jak odległa aliteracja.

## II

## WIERSZE ELEMENTARNE

## FAR WEST

Była to dolina szczęścia pełna słońca i zieleni  
korony drzew wysokich przysłaniały niebo  
stary górnik palił fajkę gładząc włosy dziecka  
czarny pies leżał mu u stóp.

Drogą ciągnęły wozy wypełnione sianem  
i śmiechem dziewcząt który z pół podchodził do kuchni  
gdzie matka przyrządzała obiad. Zab rechotanie  
oznajmiało wieczór, piękny jak wieczory dzieciństwa.  
Księżyc zastygał we włosach siostry przewiązanych wstążką.

I przyszły czasy nowe. Zamiast drzew kominy w niebo rosły.  
Czarni panowie nowe wytyczali szyby  
Kolej przekrajała miasto i dom starego górnika  
szerniał od pyłu węgla. Siostra była już dorosła  
i wychodziła z Bobem. Nad miastem zawisał  
zgiełk taneczny, huk strzałów i gorączka złota.  
Dolores tańczyła w oberży wypełnionej ludźmi,  
a mężczyźni — kulami przebijali czarne serca kart.

Aż wreszcie nadszedł dzień zapłaty  
Stary górnik czytał o tym w Biblii, ale nie wiedział  
że ogień niebieski może być tak straszny!  
Rudy żar spadł na dachy i gniew Pana poraził  
nieprzyjacioły — czarny Anioł zniszczenia przeszedł ponad  
[miastem.

Płonęły domostwa drewniane, wiatr rozwiewał żagwie  
nowe wznecając pożary, ludzie o włosach czerwonych  
w palących uciekali szatach spod stóp  
krzyki wzbijając i dym. Spłonął dom okolony drzewami  
i zginął stary górnik. A ogień strawił  
niedoczytaną kartę Biblii.

Na Dalekim Zachodzie stał przy kontuarze  
wychylał szklanę whisky i kapelusz, szeroki sombrero,  
na czoło wciśnięty mu przysłaniał pół twarzy,  
gdy Ann czerwonowłosa chodząc w bladym chłodzie ranka  
nie domyślała się, że ma przed sobą bohatera  
filmu, który w galopie na czarnym mustangu  
jako zamaskowany rzecznik doraźnego ładu  
lęk budził i grozę we wszystkich ranchach  
koniokradów Colorado.

Wręcz przeciwnie —  
sądziła, że młodzieniec wiotki i nieśmiały  
spotkany w dyliżansie to nowy buchalter  
z banku starego Toma mieszkający w domu ciotki Sally  
nie myślała nigdy, że to on błyskawice  
krzesząc pod kopytami na swym koniu karym  
uwolnił jej ojca z rąk złoczyńców. Nie wiedziała że jego  
[rusznica

nigdy nie chybia celu — że to on zdemaskuje  
szefa bandy, a był nim sam miejscowy szeryf  
i w piwnicy podstępem zamknie resztę zbójów,  
których dosięgnie zasłużona kara.

Nie wiedział o tym także sam bohater filmu  
że Ann czerwonowłosa swym niebieskim gestem  
w Technicolorze życie szczerzej wypełni mu  
niż dawniej bójki w saloonach Far Westu.

Zar słoneczny wypalał brudny od pyłu horyzont Maroka.  
W żelazne wózki ładowano kamienie i rudę. Dzwoniły kilofy  
[o szyny  
wielojęzyczny tłum pracą i gwarem wypełniał zbocze góry;  
[w tłoku  
przelewał się na nowe miejsce postoju. Robotnicy i dziewczyny  
wchodzili na ciężarówki i z krzykiem odjeżdżali w miasto.

W oberży grali w karty górnicy. Spod brwi krzaczastych  
padają błyskawice jak noże i kłótlive słowa  
nie zatrzyma ich w ustach nawet as pikowy  
po kryjomu wplątany między brudne karty  
W zaduchu wina krążył Jan niespokojny, nie wiedział jak  
[zapomnieć, po pracy  
samotność warowała u drzwi domu. Klara w kantynie na tacy  
podawała potrawy. Jej kibić wiotka gięła się jak ruchy węża  
ślizgając się wśród stołów pełnych kufli piwa. Ją także ciężar  
samotności przytłaczał, gdy wieczorem zrzucając czarne dżety  
[sukni  
w otwartym oknie długo stoi i w przyszłość patrzy zadumana  
[smutnie  
żar chłonąc niezmięszony przez nadejście nocy

Cóż dziwnego że Jan i Klara jakąś siłą wiedzeni tajemną  
złączyli swą samotność w jedno?

Dobrze im było razem — rok mija po roku  
szczęście rozkwita nawet w kopalni Maroku.

Ale oto w ich życie zwyczajne i proste, czarny  
wkracza charakter: odtąd staje się ono koszmarnie  
więc wspomnienie przeszłości powraca i rzuca Klarę w ramiona  
namiętnego Hiszpana. Na próżno walczy, chce się oprzeć,  
[wreszcie pokonana  
ulega Ramonowi. W życiu ich się otwiera  
nowa era.



Ale diabeł czatuje u węgla malowany sadzą, żądzą zemsty  
[wiedziony nieprzepartą  
przypadek jak zawsze ślepy głupio pomieszał ich karty  
Jan poznał zdradę Klary i odtąd biegnie za nim wszędzie  
myśl, że Bóg pragnie by stał się losu narzędziem.  
Hiszpan ponad przepaścią bezgłębną zwieszony  
widzi twarz Klary w studni mroku, gdy Jan z myślą o niej  
przecina linę. Teraz dramat dobiega do końca,  
gdy umierają Jan i Ramon ostatni na nich pada promień  
[słońca.

## KOKAINA

Czy bijący pokłony przed posągiem Buddy stary Chińczyk  
[Li-Ho  
jest tylko zwykłym kupcem czy też wodzem bandy  
[przemysłników?  
Otulony kadzidła mgłą duszącą domowy ołtarz dymi  
dym rośnie w białe kwiaty i drzewa olbrzymie.

Nie rozchyła się wargi w uśmiechu, mięśniów twarzy nie  
[poruszą,  
gdy wstrętnym jego brzuchem potrząsa ohydnie rechot ropuszy  
Czy okrucieństwo starca dosięgnie ofiarę tragicznego losu  
i zginie dzielny Roberts, który śledzi piękną tancerkę  
[z „Lotosu“?

Teraz znów ją widzimy jak po tańcu znika za zakrętem,  
uliczkę źle oświetla słaby kinkiet, wiatr kołysze okręt,  
płynie za nią muzyka trąb dancingu z jasnym głosem gongów  
i jak kot stąpa cicho Eurazjata spotkany w pociągu.

Już w jego ręce błyszczy krwawy sztylet wzniesiony do ciosu,  
jak wykrzyknik rozwartą, ale główna atrakcja „Lotosu“  
jedną myślą wiedziona krzycząc przeraźliwie z falującą pierśią,  
by ocalić kochanka biegnie na spotkanie z śmiercią.

A wtedy piękny Roberts demaskuje oszustwa szulera.  
Gdy handlarz kokainy kulą w serce trafiony umiera  
Roberts cudem unika zemsty barmana, ścigany przez  
[bandytów, tylnym  
wyjściem opuszcza dancng prowadzony przez instynkt  
[nieomylny

Lecz przybywa zbyt późno, by powstrzymać podniesione ramię  
okrutnego Chińczyka, sztylet ostro powietrze przecina  
umiera piękna Helen — żyła fałszem, teraz już nie kłamie —  
tytuł tego dramatu brzmi tak prosto: „W szponach kokainy“!

## EMIGRANT Z KANADY

Autobus wiózł nas wartko przez Place de la Concorde.  
Nie wiedziałem od czego rozpocząć mój oxorde,  
tyle lat minęło od naszego rozstania,  
tyle lat samolotem w świecie się uganiaasz —  
a teraz jeszcze będąc na drugiej półkuli  
witałeś mnie jak obcy bez zbędnych rozczuleń.  
Wspomnienia twe nie kryją nic ze złych koszmarów,  
bierzesz życie spokojnie z wyżyn twych hektarów,  
domek mieszkalny, ogród, własne drzewo w lesie —  
możesz czekać bez obaw co przyszłość przyniesie.  
Najpierw myślałeś talerze, stewardem na statku  
byłeś lat kilka, twardo szedłeś do dostatku —  
teraz dobiłeś brzegu, na policzkach białych  
czerwienią się zaznaczył przyjazd do Kanady.  
Zmęźniałeś i lat znamię nosisz na swych barkach,  
grubym podbródkiem chwalisz koniak dobrej marki,  
pieniądz cię opancerzył, nic cię już nie zrani  
i w życiu dosytem na uczuć cierpisz zanik.  
Gdy cię ujrzałem w pełni twojej prosperity  
myślałem w pierwszej chwili, że to jesteś nie ty

Ale wszystko runęło tyle lat obczyzny —  
gdy nieopatrznie padło w nas słowo: ojczyzna.

## NA FERMIE

Były to czasy kłęski i głodu.  
Nad Tulużą, w samolotów cieniach  
dzień za dniem się przemieniał  
bez końca wypełniony chłodem.

Stałem się wtedy drwalem.  
Natchniony —  
twardo rąbałem drzewa nad drogą,  
siekiarą iskry wzniecałem, białe wióry — w upale  
spadały do rzeki platanów korony,  
ziemia rodziła marchew i paszę ubogą  
dla krów bez mleka.  
Na wargach naszych  
czaił się głód, zamykał znużone powieki.

Od strony  
Bouxonne — las teutoburski podchodził  
pod ogrody  
i zabudowania fermy

Nie było już świec ani nafty,  
czekaliśmy w mroku,  
siedzieliśmy przy świetle kominka:  
Jean-Marie, Suzanne i ja.  
Pękały główne i iskry wzlatywały w górę a dym  
w bury czas się rozwijał  
powolnie — na dworze wiatr i chmury  
z błyskawic przecinków i tafty  
czarnej jak kir

Za ścianą słyhać głosy stajni  
krowy dzień przeżuwiają nad żłobami w gęstym mroku  
parskają konie drapią kopytami ziemię  
zapatrzone przez szybę w odległy ruch obłoków,  
na dworze słyhać puszczyków krzyk, milczenie i jednostajne  
psów ujadanie.

Wtedy Jean-Marie zaczął swe opowiadanie.

## O KOCIE CO CHODZIŁ WŁASNymi DROGAMI

Uczyłem się kroczyć prosto, choć życie radziło aby kluczyć  
[krzywo

i jak kot chciałem chodzić własnymi drogami —  
ale zewsząd krzyczano: wydeptywać ścieżki cudze!  
chciałem zachować niezapomniany  
język młodzieńczych przebudzeń.

Ale to wszystko się nie stało  
nauczyłem się chodzić pomału.

## CHOMAŁO HISTORII

Tyle lat ponurych  
przeżyliśmy w oczekiwaniu i w zimowym śnie  
nie mogąc jak węże zmienić skóry  
i odrzucić w śnieg.

Podczas gdy nad wami  
ujętymi gromadnie  
piętrzyły się plany projekty programy  
diagramy harmonogramy  
zamykały w przeraźliwe zapadnie.

Po tylu latach  
gdy oddzieliła nas wieża Babel świata  
znalazłem słowa proste.  
Po długiej nocy dnieje  
i w niebo wzlata  
radość nadzieja!  
Porzucamy wreszcie chomałto historii  
i dziejów  
czarny postrach.

Na rynku  
małego miasteczka obok urzędu gminnego  
i szynku  
zasadzone drzewko uschłe  
zmieniło się w błocie i w śniegu  
w drzewo wolności.

Słowa proste  
suche osty —  
urośli w wielkie drzewa.

## SPIS RZECZY

### I RZECZY WYOBRAZONE

	str.
Ścieg ... ..	7
Czarna ... ..	8
Podziemia ... ..	9
Orchidea ... ..	11
Mury ciemności ... ..	12
Morena ... ..	13
Odległe wspomnienie ... ..	14
Rozstanie ... ..	15
Międzymorze ... ..	16
Korzeniami wróć ... ..	17
Ryby ... ..	18
Noc ... ..	19
Ziemia i niebo ... ..	20
Twarze przyjaciół ... ..	21
Fakty ... ..	22
Niewymiar ... ..	23
Spotkanie ... ..	24
Odległa aliteracja ... ..	26

*SPIS RZECZY*

**II**  
*WIERSZE ELEMENTARNE*

	<b>str.</b>
Far West ... ..	29
Technicolor ... ..	30
Maroko ... ..	31
Kokaina ... ..	33
Emigrant z Kanady ... ..	34
Na fermie ... ..	35
O kocie co chodził własnymi drogami ... ..	36
Chomąto historii ... ..	37